



powieść z niedawnej przeszłości
napisał **WALERY PRZYBOROWSKI.**

„Krew jest dziwny sok“.

I.

W stronnictwie, a raczej partyi, jak to wówczas mówiono, znano go pod pseudonimem „szlagona“, choć właściwie nazywał się Zajączkowski, Władek Zajączkowski. Może to przezwisko stąd powstało, że rodził się i wychował na wsi, ojciec jego bowiem posiadał gdzieś w Krakowskim, czy Sandomierskiem mały, kilkunastkowy folwarczek. Ale choć wychował się na wsi i był niewątpliwym szlachcicem, herbu Jastrzębiec, gardził szlachcią, gardził obecnym porządkiem rzeczy, ustrojem społecznym, kapitalistami, burżujami i całą tą bandą wyzyskiwaczy, których, jak twierdził, niebawem wielka rewolucja społeczna zmiecie, jak pył marny. Przybywszy do Warszawy, odrazu znalazł się wśród najskrajniejszych żywiołów i należał do najzapaleńszych, najwymowniejszych, był najbardziej zdecydowanym, gotowym każdej chwili wywrócić na tym podłym (jak mawiał) świecie, wszystko do góry nogami.

I oto teraz, w wietrzny i zimny dzień lutowy, biegł, otuliwszy się w palto, z kołnierzem na uszy postawionym, na ulicę Chłodną, gdzie miało się odbyć w jednym z niepokojących domów, w oficynie od tyłu, tuż przy rogatce i okopach, wielkie zebranie jego stronnictwa. Biegł i uktadał sobie w głowie mowę, jaką chciał wygłosić przeciw pewnym osobistościom, kilkunastu głupcom, podmówionym przez żydów i inne żywioły obce, a występującym przeciw narodowości polskiej, jej ideałom i pragnieniom. On bo, mimo wszystkie teorie, któremi się przejął, czuł się zawsze Polakiem, gorąco kochającym swą ojczyznę nieszczęśliwą, gotowym za nią krew przelać i marzącym, że właśnie te dążności, które wyznaje i propaguje jego partya, mogą tej ojczyźnie przywrócić w przyszłości życie samoistne, acz oparte zgola na innych, jak dotąd podstawach.

Na rogu ulicy Elektoralfiej i Chłodnej silny wiatr o mało nie zerwał mu kapelusza z głowy, tak że musiał go ręką przytrzymać i odsłonił twarz dotąd zakrytą kołnierzem, na którą padł blask obok stojącej latarni. I zaraz też zatrzymała się idąca naprzeciw niemu jakaś strojna dama i słodki, pieszczony głosik zawołał:

— Ach, to pan?

Zdziwiony Władek podniósł oczy na mówiącą i uczył dziwne, wstrząsające wzruszenie. Tak, to była ona, ta ubóstwiana, pierwsza jego, niezapomniana, gorąca, młodzieńcza miłość, miłość nieszczęśliwa, bo przecież była żoną innego. Jola, cudna Jola (a miała na imię Jolanta), której widok i głos pieściwy drżał mu zawsze w uszach niebiańską muzyką, stała teraz przed nim i budziła w jego duszy i sercu wszystkie minione, niezatarte wspomnienia. Wszak już rok przeszło, jak jej nie widział, od chwili, gdy wioszczyne ojcowską opuścił, by się rzucić w wir walki o wysnzione ideały. I przypomniało mu się, jak codzień, mimo zawiei i mrozów podczas zimy, skwarów i deszczu w lecie, dosiadał wychudłego podjeżdżaka ojcowskiego i biegł do Kalinówki, gdzie był urząd gminny, a uroczą Jola jako żona pisarza gminnego, tamże mieszkała. Nigdy nie mógł zrozumieć, jakim sposobem ta śliczna, czarnobrewa i czarnooka kobieta, o kształtach boskiej Juno, pyszna, wspaniała jak dogaresa wenecka, poetyczna, czytana, mogła się stać żoną takiego durnia, pisarza gminnego, łapownika, obcego, noszącego miano Wasilija Iwanowicza Pijewodkowa. Ale cóż go to wszystko mogło wtedy otchodzić? Kochał, kochał zapamiętale i zdawało mu się, że był kochany. Przyjeżdżał codzień, by się napawać jej widokiem, patrzył w jej oczy tak, jak się patrzy na ukochaną kobietę, gdy się ma lat dwadzieścia, duszę gorącą

i serce zapalne. A choć Wasilij Iwanowicz Pijewodkow krzywo wkońcu spoglądał na te odwiedziny, krzakał gniewnie i nie stawiał na przyjęcie gościa, jak to z początku czynił, „karafinki oczyszczonej“, Władek nie zważał na to, jeździł ciągle i był w siódmym niebie, gdy mógł uściśnąć, ucałować pokrywomiu białą rączkę pani Joli i wzajemny uścisk otrzynać.

Ale przyszła wielka burza społeczna, szalona wichura rewolucyjna, porwała go jak liść odpadły od drzewa ojczystego, od starych lip przy dworku ojca i zaniósła do Warszawy i tu rzuciła w taki wir, w takie morze nowych myśli, idei, porywów do czynu, a na niedoczytnie się kończących, tak go pochłonięła, że wszystkie dawne pragnienia i serdeczne tęsknice sobą pokryła. Nie zapomniał o Joli, ale nie miał czasu o niej myśleć. Bo czyż można myśleć o kobiecie, gdy huragan szaleje, grozi wywróceniem nawet tysiącletnich dębów, gdy grzmiały strzały brauningowe, trzaskają bomby, padają z łoskotem dawne ideały, a krew strumieniami cieknie!

I oto w ten wieczór zimny, mglisty, gdy wiatr świszczy, a płomienie latarń mdło jakoś świecą, gdy otacza go proza pospolita życia, ujrzał ją przed sobą tę niezapomnianą, tę jak zawsze piękną, słodką, ognistymi promieniami palących oczów czarnych patrzącą na niego jakoś tęskliwie i smutno.

— To pan jest w Warszawie? — szepnęła.

Zrazu nic nie odpowiedział, głos mu zamarł w piersiach i potrzebował pewnego czasu i pewnego wysiłku nad sobą, by oprzytomnieć i na pytanie to odpowiedzieć.

— Boże! — myślał sobie, pożerając ją oczami — jaka ona śliczna, strojna, zgrabna, o figurze skradzionej chyba greckim boginiom! Jakże się różni od tych „towarzyszek“ w partyi, chudych, brudnych, z wykrzywionymi obcasami u bucików nieczyszczonych od urodzenia, ubranych okropnie, nie kobiet, nie mężczyzn, ale jakichś istot bezpłciowych, palących papierosy, pijących wódkę i piwo i prawiących o wolnej miłości, o zrównaniu praw kobiecych z męskimi, o wychowywaniu dzieci przez państwo...

— Tak pani — odrzekł nakoniec, chwytając, a raczej wydobywając jej rączkę w obcisłych, nowiuteńkich rękawiczkach z futrzanej mufki — tak, jestem w Warszawie od dawna... od roku przeszło.

— O! ja ten czas doskonale pamiętam... ale mówiono mi, że pan musiał emigrować, nie przypuszczałam, byś był w Warszawie.

— Nie emigrowałem, choć i to zapewne nastąpi... nie czuję się tu bezpiecznym, mają oko na mnie... ale pani, pani, co tu robisz?

— Przeniosłam się także do Warszawy z mężem... dostał tu posadę... mój Boże, jakże mi żal Kalinówki i moich wspomnień i marzeń pod krzyżem!... Pamięta pan ten krzyż stary, zmurszały krzyż na rozstajnych drogach?

— Czy pamiętam? ja wszystko pamiętam... i ten krzyż, choć kto tam dziś o krzyżach myśli!...

— Jakżebym chciała z panem porozmawiać długo, szczerze, serdecznie, jak dawniej. Ach, jak to źle, że wszystko mija na tym świecie.

— Niestety! są jednak uczucia, które nie miją i nie gasną nigdy.

Spojrzała na niego i „utopiła oczów błyskawice w kochanka swego błękitne źrenice“ — jak mówi poeta — a po chwilowym milczeniu, jakby się z sobą samą naradzała w duszy, rzekła:

— Ale cóż my tu stoimy na ulicy? zimno jest. Chodź pan do mnie, męża niema i nie prędko wróci, a zresztą o to mi nie idzie... chodź, pogadamy, przypomnimy sobie Kalinówkę, przechadzki nasze, sny nasze, rozmowy pod krzyżem na rozstajnych drogach...

O, zaśmiała mu się dusza z radości na te zapro-

siny, na myśl o tem sam na sam, o słodkim wspomnieniu chwil minionych, a tak miłych, i już miał odpowiedzieć, że dobrze, że idzie z nią, gdy nagle przypomniał sobie schadzkę w „stowarzyszeniu“ z członkami partyi, schadzkę, na której miał wygłosić swą mowę i na której, wiedział o tem, miał być osądzony jeden z członków, podejrzany jeżeli nie o zdradę, to w każdym razie o czyny niejasne i wątpliwe. Przekleństwo! — pomyślał sobie — człowiek porwany raz w to koło przewrotu społecznego, staje się maszyną, nie wolno mu mieć swej woli, nie wolno mu kochać i prowadzić słodkich, cichych pogawędek z umiłowaną kobietą, nie mu nie wolno, bo „towarzysze“ takie postępowanie nazwaliby burżuizmem, świństwem i niezdolnością należenia do „partyi“. A zresztą sam tam wszedł, z własnej woli nieprzymuszony, sam widział w tem możność urzęczywistnienia swych ideałów i cofnąć się nie może. Czyż to godnem jest członka proletariatu porzucać „towarzyszy“ dla ładnych oczów?

Z żalem więc, z nieskrywany bólem odrzekł:

— Jakżebym pragnął takiej rozmowy, ale...

— Cóż ale?

— Ale dziś nie mogę.

— Dlaczego?

— Dlatego... bo i po cóż ukrywać to przed panią, że mam dziś zebranie mego stronnictwa, zaczyna się ono o godzinie ósmej, a już jest po ósmej, muszę... muszę być na niem...

Zaśmiała się srebrzystym głosem:

— Zebranie! partya! dajże pan pokój, panie Władku!

Rzadko go tak pieszczotliwie po imieniu nazywała, a ilekroć nazwała, słodki balsam na serce mu spływał. I teraz stał rozpromieniony, a ona dalej mówiła:

— Jacyż ci mężczyźni zabawni! Partya! zebranie! wielkie słowa. Czyż to ja, ja, Jola z Kalinówki, mniej warta jestem, jak jakaś tam partya? No! no! chodź pan, kiedy proszę, kiedy chcę tego.

I wzięła go pod ramię i pociągnęła za sobą, a on poszedł, bo zawsze, choćby anioł z mieczem ognistym stał przy zakazanym owocu, Ewa pociągnie za sobą i skusi.

— Mieszkam niedaleko, tu na Elektoralfiej — mówiła do niego, trzymając go pod rękę, a on czuł przy tem dotknięciu ciepło i gibkość jej ciała i bicie jej serca; fala krwi uderzała mu do głowy i już teraz za nicby się nie cofnął, choćby mu wszystkie partye na świecie stanęły na drodze i samo nawet zbawienie tego świata.

I tak szli we dwoje, szepcząc do siebie, szczęśliwi, zakochani, zapominając o wszystkim, on o zebraniu swego stronnictwa, ona o mężu Pijewodkowie, o tem, że szli ulicą pełną ruchu, wrzawy wielkomiejskiej, że zimny wiatr mroził ich twarze, że przechodnie przypatrywali im się z uśmiechem, bo stanowili wszystkim, ruchami, zajęciem się sobą, szeptem, oczami, typową figurą zakochanej pary. Ona mu mówiła, że niezmiernie jest rada, iż mieszka w Warszawie, choć przed godziną jeszcze tęskniła za Kalinówką, za starym krzyżem przydrożnym, ale teraz już nie tęskni i szczęśliwa jest, że się znajduje w Warszawie.

— Warszawa taka piękna, taka ożywiona — odezwiała się, tuląc się pieszczotliwie do jego ramienia, jakby chciała temi słowami usprawiedliwić wstydlivé nagie rozmyślanie się w pięknościach Warszawy, które ją przed godziną jeszcze wcale nie zajmowały.

On tego wszystkiego słuchał, patrzył w jej oczy, które od czasu do czasu przy blasku latarń ulicznych zapalały się ognistymi płomieniami, poił się słodyczą jej głosu i nie myślał wcale o partyi i o zreformowaniu urzędów społecznych. W duszy mu